

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 100.

Prenumerata w Warszawie: Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 12/24 sierpnia 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. Koperta oddzielną 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Przyjęcie posłów polskich przez Henryka Walezyusza w Paryżu r. 1573 (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Józef Bogusław Szuska (dokończenie). — Polskie oznaki godności i broń sieczna (z drzeworytem). — Żytomierz (z drzeworytem). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Kodeks cywilny i procedura małżeńska (z trzema drzeworytami). — Szachy i rebus.

PRZYJĘCIE POSŁÓW POLSKICH PRZEZ HENRYKA WALEZYUSZA W PARYŻU 1573 roku.

Po śmierci Zygmunta Augusta, ostatniego z rodziny jagiellońskiej po mieczu, wybrano na tron polski Henryka Walezyusza.

W imieniu rzeczypospolitej wysłani zostali posłowie do Francyi z Korony: Adam Konarski, biskup poznański, Wojciech Łaski, wojewoda sieradzki, Jan Tenczyński, kasztelan wojnicki, Jan Tomicki, kasztelan gnieźnieński, Jan Herburt, kasztelan międzyrzecki, Stanisław Krzycki, kasztelan raciański; z Litwy: Mikołaj Radziwiłł Sierotka, książę na Olyce i Nieświeżu; ze stanu rycerskiego: Mikołaj Firlej, starosta kazimierski, Jan Zamojski, starosta belzki, Jan Zborowski, starosta odolanowski, Mikołaj Tomicki i Aleksander Proński. Orszak ten powiększało 250 szlachty i liczna drużyna służby i dworzan.

Dnia 10 sierpnia 1573 r. przybyli posłowie nasi do Metz, a 19 t. m. stanęli pod murami Paryża.

Magistrat stolicy na ich spotkanie wyszedł za bramy miasta, za nim udał się cały dwór królewski i mnóstwo panów, jak: Franciszek de Bourbon książę krwi królewskiej, książęta de Guise, de Mayenne brat jego, książę d'Anmale, margrabia d'Elbocuf, prałat uczone Paweł Desoix i wielu innych. Wjechali posłowie w 50 karetach poczwórnych przez bramę świętego Marcina. Cały Paryż wysypał się na ten widok.

Wszystkie okna, ganki, dachy nawet okryte były ludem, a ulice tak napchane, że orszak z wielką postępowal trudnością.

Z podziwieniem patrzyli Paryżanie na sędziwych mężów, okazałej i szlachetnej postaci, na poważne oblicza, ich strój bogaty, gęste brody i sumiaste wąsy, przy spojzeniu pełnym dumy i ognia.

Drogie szaty, delie aksamitne, żupany z drogiego atlasu, czapki sobolowe z bogatymi kitkami, pasy złotolite, szable na pochwach i rękojeści drogiemi wysadzane kamieniami, buty ze srebrnymi podkówkami, zwracały oczy wszystkich. Liczny orszak rycerskiej młodzieży ścigał uwagę Francuzów niemniej na siebie. Tu przepych w zbroi, w szablach, łukach i kołczanach wydatniał jeszcze więcej. Każdy jeździec na dzielnym tureckim bachmacie, rząd na koniu wspinały. Błyszczały od promieni słońca polerowne pancerze stalowe, suto nabijane złotem, równie jak helmy; z bark spływały skrzydła sępie albo orle, jak u towarzyszków hussarskich, skóry zaś lwie, tygrysie i lamparcie u pancerniej jazdy. Ci co bez zbroi wystąpili,

na brzegach Sekwany, niż nad Wisłą lub Dnieprem rodzili. Niemal to zawstydziło dworaków naszych, którzy nie tylko że nie umieją, lecz nadto nieprzyjaciółmi są wszelkich umiejętności. Jakoż gdy przybyli goście i zapytywali ich o co, oni odpowiadali na migi, rumieniając się od wstydu.

Na trzeci dzień posłowie polscy mieli posłuchanie w Luwrze u króla Karola IX. Z uszanowaniem zbliżywszy się do tronu, po ucałowaniu ręki królewskiej, biskup Konarski w te słowa przemówił:

„Senat i wszystkie stany królestwa polskiego, nie mogły dać w. k. mości większego dowodu szacunku dla osoby jego, jak mianując królem brata jego, a to stosownie do życzeń w. k. mości. Ja i towarzysze moje przybyliśmy umyślnie do Francyi, by mu wieść o tém przynieść, z pełną ufnością, iż wybór ten, uczyniony podług wszelkich przepisów prawa, pożytecznym stanie się dla całej Europy.“

Król Karol IX odpowiedział:

„Przybycie wasze prawdziwą radość wzbudza we mnie. Nie zapomnę przez całe życie moje wspaniałego daru, który, za zleceniem mojem, uczyniliście ukochanemu bratu memu. Nie opuszczę żadnej pory, w którejbym wam nie okazywał wdzięczności mojej, a to by dać poznać nie tylko Polsce, lecz światu całemu, lecz wszystkim wiekom, że nigdy żaden monarcha nie miał więcej przyjaźni dla żadnego narodu, jako ja mam dla walecznych Polaków.“

Następnie przedstawieni byli posłowie królowej matce, Katarzynie de Medicis, która długo po włosku rozmawiała z biskupem Konarskim, i królowej panującej Elżbiecie rakuskiej.

Polacy, odłożywszy do dnia następnego powitanie króla swego po obiedzie wsiadli na konie i objechali główne ulice Paryża, w całym orszaku strojnym i zbrojnym.

De Thou ten objazd tak opisuje:

„Mieli Polacy długie, złotolite szaty, a surowa ich i szlachetna postać przypominała powagę i majestat rzymskiego senatu. Cugle ich koni nabijane były srebrem, błyszczące się drogiemi kamieniami siodła w złoto oprawne, a rzędy na koniach piękną swą zachwycały patrzących. Każdy z posłów był przez swój dwór poprzedzony. Byli to szlachetni młodzieńcy, wszyscy



PRZYJĘCIE POSŁÓW POLSKICH PRZEZ HENRYKA WALEZYUSZA W PARYŻU 1573 r.

odznaczali się bogatym strojem, a wszyscy z szablami przy boku.

Współczesny historyk francuzki de Thou pisze:

„Nie było i jednego pomiędzy nimi, któryby płynnie po łacinie nie mówił: wielu tłumaczyło się po włosku i po niemiecku, a niektórzy mówili językiem naszym tak czysto i pięknie, iż rzekłbyś że się raczej

ubrani w jedwabiach; niesiono przed nimi buzdyną, na dwa łokcie wysokie.“

Nazajutrz stawili się posłowie polscy przed swoim królem, który z uprzejmością cały orszak ich przyjął.

Na przemowę biskupa Konarskiego, przewodniczącego poselstwu, król Henryk krótko odpowiedział, że dzięki Bogu i Polakom, iż z takimi dowodami uprzejmości obrali go za króla swego i że wszelkich starań dołoży, by zasłużył na opinią którą o nim powzięli.

Słowa te przetłumaczono po łacinie; poczem kanclerz królewski, *Filip de Chiverny*, dodał następujące wyrazy:

„Przyjazd wasz miłym jest nader j. k. mości. Niecierpliwym jest najjaśniejszy pan, udać się co prędzej do królestwa, które od Boga i waszej wspaniałości odbiera. Gorliwość z którą Polacy w tak dalekie udali się strony, dopełnia, przewyższa nawet jego oczekiwania. Nie zapomni nigdy j. k. mość tego, co Polacy dla niego uczynili, a przymusiwszy już czynami swemi, nieprzyjaciół nawet, do przyznania mu imienia wielkiego wodza, dowiedzie w Polsce, że jest panem hojnym i wdzięcznym. Posłowie mogą mu podać ugodzone artykuły, gotów jest je potwierdzić i zaprzysiądz.“

Jak dotrzymał tak pięknych obietnic Henryk Walezysz, w dziejach naszych mamy wymowne świadectwo.

Kronika tygodniowa.

Niedawno czytaliśmy z zajęciem prospekt Michała Gliszczyńskiego zapowiadający nowe pismo: *Przegląd Polski*.

Dziś znów do liczby pism czasowych przybywa nowe pod kierunkiem Apollona Korzeniowskiego: *Świat*.

Pismo to wprawdzie wychodziło już, nieperypodycznie wydał je F. S. Dmochowski, lecz wydawnictwo jego przerwał podobnie jako i *Historię Powszechną* w skróceniu Cezara Cantu, której ledwie trzy poszyty wyszły, a na następne od stycznia publiczność nadaremnie czeka.

Świat zamienia się w pismo peryodyczne, dwutygodniowe, wydawane na podobieństwo przeglądów francuskich. Pod kierunkiem pełnego zapалу a wytrwałego pisarza, zapewne pięknie się rozwinie, zdobędzie sobie odpowiednie stanowisko a przez czytelników przyjaźnie przyjętym zostanie.

Zapowiedzenie jednak tego nowego pisma następcza nam pewne uwagi.

Liczba pism czasowych wzrasta, nowopowstałe zyskują natychmiast kółko czytelników, przyszłość tych, które tylko sumiennie służą ogółowi, niezachwiana. Wszystko to dowodzi ich potrzeby.

Potrzeba ta w ciągu lat ostatnich, a głównie od roku zeszłego coraz wyraźniejsza. Tacy nawet co nie domyślali się że istnieje prasa peryodyczna, dziś bez dziennika obejść się nie mogą.

Rzecz archywalna tym więcej, że nietylko dzienniki polityczne, ale literackie i beletrystyczne coraz większe grono czytających zyskują.

W tym jednak nagłym wzroście jedna okoliczność niemal nas trwoży.

Liczba pism wzrasta, zwiększa się grono czytelników, ale czyż w końcu nie zabraknie sił twórczych?

W każdym bowiem piśmie z już istniejących, zawsze i wszędzie, jedne i te same imiona współpracowników napotykamy, z nowym nazwiskiem spotkać się prawie niepodobna.

Stara falanga pisarzy naszych szermuje piórem, bierze ciężar nad siły, upada pod nim prawie, ale z niskąd pomocy dla niej nie widać? z niskąd nie tylko młodzieńczy zastęp ale nawet pojedynczy nie przybywa rycerz, któryby zapełnił szczyby od dawna wójujących szeregow.

A przecież każde drzewko co wiosną nowym pokrywa się liściem, w miejsce uschłych i zmarłych wyrastają świeże, piśmiennictwo tylko nasze wylamuje się z pod tych praw odwiecznych.

Nie tak przecie daje się w innych stronach, gdzie kwitnie literatura nasza.

Spojrzyjmy na Lwów, tam nigdy nie sprzyjały okoliczności rozwojowi piśmiennictwa naszego, odrodzenie jego późniejsze, ale jakże bujne.

Po Kamińskim i Fredrze wnet zjawiają się imiona: Górczyńskiego, Bielowskiego, Siemieńskiego, Szajnochy. Zaraz za temi Kaczkowski, Ujejski, Zacharyasiewicz, Szmidt Morawski—i znów Szujski, Łoziński, Bielawski, Romanowski, Szedler, Starkel, i znów nowi i coraz nowi.

Pomnażają się wciąż szeregi pracowników, nowe siły podpierają dawne, z konarów dębu wybiegają

młode latorośle, corok nowe nazwiska łączą się z dawnymi, niema luki między rokiem a rokiem.

Wytrwali dochodzą do celu, słabsi upadają; ale na ochotnikach nigdy nie braknie.

A przecież gorsze tam warunkami istnienia, czytelnicy nie na tysiące, lecz na setki się liczą, spółudział dla piśmiennictwa mniejszy jak u nas, a przecież zapał do poważnej pracy większy.

Nie idzie nam o talenta pierwszorzędne, wiemy że lata na takie oczekiwać trzeba, ale chodzi o ludzi, coby sumienną pracą, pilnym studyowaniem i śledzeniem kilkoletniem doszli do tego, iżby ich usiłowania z czasem dla ogółu smaczny owoc wydały. Jakieżże przyczynie przypisać tę obojętność dla piśmiennictwa, to, mówiąc po prostu lenistwo? Oto temu, że jakoś weszło w modę (a moda, przynajmniej, to u nas zawsze wszechwładna pani) pomiatać literaturą, nie mieć jej za nic uważać ją za jakieś uboczne, próżniacze zatrudnienie, *dolce far niente*, mieć ją nie za świątynię wybranych, lecz zadem zajędny do którego każdemu, o każdym czasie wedle chętki i kaprysu wjeżdżać i wyjeżdżać wolno.

Takie lekceważenie wcale nie mówi na korzyść naszej umysłowości. Piśmiennictwa lekceważyć się nie godzi, sięga ono głęboko w życie narodu, pielęgnuje jego pamiątki, rozjaśnia niejedną rzecz zawiłą lub wątpliwą, wlewa ogień żywota w duszę, jeżeli tylko jego kapłani z czystą prawością serca łączą wytrwałą i sumienną pracę.

U narodów pół dzikich zęczny strzał z łuku większy obudza aniżeli najpiękniejszy poemat, najszczytniejsza prawda korzy się przed budową muskularną. Włochy wieńczyły swych poetów w czasach najświetniejszych ich literatury i niedawno jeszcze potężny rozum zrównał tryumfom najodważniejszej piersi.

Lecz nie o wieńce, nie o poklask nam chodzi. Wieniec niech będzie z ciernia, puchar zółcią zaprawny niech wynagrodzi pracę uczciwą, sumienną, wytrwałą, ale niech praca ta będzie.

Smutna jednak, ale potężna wada przeważnie u nas panuje, że każdy szuka rozgłosu w tém, co bez trudu zdobyć można, choćby rozgłos ten był chwilowy, efemeryczny, choćby go zyskać wysokim fantazyjnym, fraszka nawet, byle tylko nie mozolną pracą.

A jednak bez pracy trudno żądać trwałej nagrody. Jednodniowe laury zbyt prędko więdną. Ledwie szczęśliwy wybraniec w przyjaznej chwili ozdobi dumne czoło świeżo zerwanym liściem, a jutro już ten liść uschnie, w proch się rosypie i ów tryumfator ze wstydem kryje w cieniu obnażone czoło.

Gadułów, nowiniarzy nie braknie, na przechadzkach ciasno, lecz nad stołem pochylonych przy pracy mozolnej nierównie mniej, a w świątyni literatury naszej coraz samotniej.

I dla czego cele nowicyatu puste? dla czego po szerokich kurytarzach błądzą tylko starzy, a w chórze drzących i strudzonych głosów nie zasila męzki śpiew młodych kapłanów.

Czy zabrakło młodzieńców, czy niema nikogo, coby wziął na swe barki brzemień i szedł z światłem nauki po świecie? Nie, młodzi jest dosyć, pokolenie za pokoleniem wzrasta, lecz niestety, tacy co mają zapał w piersi, coby mogli być bardzo użytecznymi pracownikami na polu piśmiennictwa krajowego, uważają pole to za zbyt jałowe dla swych zdolności, literaturę za rzecz błahą, niegodną pracy.

Inni znów chcieliby bez nauki, bez studyów przygotowawczych, bez najprostszych wiadomości lada wiérzykiem sięgnąć po gałąź lauru i dziwią się że wzrasta za wysoko, i dziwią się że publiczność od razu czołem przed ich nie uderza wielkością.

Kto chce drugich uczyć, sam długo wprzód nad swym wykształceniem pracować powinien. Dziś krzew soczystego nie wyda owocu.

Raz jeszcze powtarzamy: pracy, pracy niezmordowanej nam potrzeba, chęci do niej i wytrwałości. Krok wolniejszy a ciągle prowadzi dalej, niż bieg szybki a chwilowy. Nauki, nauki wiele, nauki dla wszystkich! bez jej światła najpotężniejszy umysł błądzi, stawia kroki chwiejne, niepewne.

Tym panom co piśmiennictwo w ostatnim umieszczają rządzić radzimy w tył się obejrzyć, w jakichże to czasach żyli Górnicy, Kochanowscy, Orzechowscy; w jakich znowu literatura zeszła z tej wysokości, stając się cikliwą i bezduszną; kiedyż nareszcie pisarze z natchnionych wieszczów, stali się nędznymi panegirystami, piszącami na rozkazy mecenasów za jego uśmiech, za garstkę złota, elegie na śmierć pieśków bonońskich?—Jeżeli takdalej zostanie, cóż o obecnych latach przyszłe wyrzeczcie pokolenie?

Patrzmy jak się na około krzątają. W Czechach nie widno gwiazd pierwszorzędnych, ale za to wciąż wzrasta liczba usilnych pracowników. Na Szląsku łamią się z przeszkodami, nie umieją władać językiem lecz piszą jak umieją. Podziwiać i korzyć należy się przed

ich wytrwałością, my tylko jedni stanęliśmy tak wysoko, że nam już nic więcej nie potrzeba.

Nieczęсна zarozumiałość!

Alę raz należy się otrząsnąć z wygodnej gnuśności, raz pokazać, żeśmy wytrwali w pracy, czego brak zawsze nam wyrzucano.

Niech więc mnożą się pracownicy wszędzie. Niech ich i na niwie piśmiennictwa nie braknie. Niech młodzież uczy się; sieje i pielęgnuje ziarno, aby plonem z potrzebami podzielić się mogła. Niech każdy, kogo zrażają trudności pisania pomni, że im większe zawady do zwalczania, tém większe prawo do zasługi.

W jednym z ostatnich numerów *Kuryer Warszawski* wspomniali, że ludzie zajmujący się naukami lekarskimi z upragnieniem oczekują na wydawnictwo dzieł medycznych przez naszą akademię medyko-chirurgiczną. Możemy zapewnić, iż członkowie tężże akademii są w zupełnej gotowości zadosyć uczynić temu żądaniu, tylko że z równym upragnieniem oczekują nabywców; bez tęż wzajemności trudno aby wydawnictwo się udało. Akademia istnieje dopiero rok czwartym, a już wywoływała ruch piśmienniczy; niezdziwieniem że nie doznaje żadnego poparcia ze strony czytających, Na dowód tego przytaczamy następujące fakty: Docent Łuczkiwicz wydał *Farmakologię*, przed dwoma laty, dotąd rozeszło się zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy. Dr Korzeniowski rozpoczął druk *Anatomii* w zeszytach, ale dalsze prowadzenie okazało się niepodobniem dla zupełnego braku prenumeratorów. Tenże sam los spotkał *Anatomię* Dra Neugebauera, który niezrażony jednak rozpoczął z wielkim staraniem i znacznym nakładem wydawać *Akuszerję*, lecz ta dotąd nie zwróciła ani połowy kosztów; można się więc awanturować na dalszy ciąg i stratę kilku tysięcy złotych?

Alę nic bardziej zastanawiającego jak zawód, jakiego doznał professor Hirschenfeld, którego przybycie do nas poprzedziła europejska sława. Wydał on już jedną część kompletną dzieła anatomicznego, które zjednało mu w Paryżu akademicką nagrodę. Edycja polska, stosownie do kilkoletniego postępu nauki poprawiona, opracowana jak najstaranniej, zdawało się że powinna być rozebraną w kilku tygodniach po wyjściu z druku. Tymczasem biedny laureat paryzki od roku już przeszło nie mogąc pokryć kosztów wydawnictwa jednej tylko części, będzie zapewne zmuszonym zaniechać i dalszych.

Jeżeli więc takimi symptomatami będzie się stale objawiać owo upragnienie, o jakim wspomina *Kuryer*, to niem dobrze wyjdą profesorowie akademii, chcący poświęcić się literaturze lekarskiej.

W ostatnich czasach kilka pięknych prac muzycznych wyszło na widok publiczny.

Na pochwałę także zasługuje hymn *Dies irae* Adama Grossa. Cels Lewicki dodaniem przekładu wzorowego dał dowody że sobie nie waży lekce wydawnictwa muzycznego.

Równą starannością wydania odznacza się pieśń *Boga-Rodzica* wyszła w zakładzie i nakładem Dzwonkowskiego. Tu nietylko mamy przed sobą pracę artysty, lecz dołączono także pierwotną melodyą i historję tęż starożytną pieśni.

O pracach muzycznych innych autorów mamy w jednej z następnych kronik pobieżną wiadomość.

Kiedyś już w dzisiejszej kronice tak głęboko zabrnęli w sprawy literackie, nie od rzeczy będzie nadmienić jakim sposobem, w narodach liczebnie mniejszych, rozwinęła się ogólna oświata, rozbudziła chęć do czytania, a następnie kształcenia się, i powstało powszechne zamiłowanie piśmiennictwa, skutkiem czego literatura zyskała przeważny wpływ moralny i pracuje dla kraju pożytecznie.

W pobratymczych Czechach, przed niezbyt odległym czasem krajowe piśmiennictwo w zupełnym zostawało otretwieniu; ksiąg czeskich nadzwyczaj mało wychodziło a i te nietylko nader niewiele miały czytelników, ale nawet Czesi wykształceni wstydzili się używać na publicznych miejscach swego języka, który uważali za język gminu.

Wtedy znaleźli się ludzie, którzy postanowili zbudzić piśmiennictwo z uśpienia; staraniem ich powstała *Matica Czeska*, ubożuchna w swoich początkach, a dziś potężna i silna.

Matica czeska liczy teraz przeszło 6,000 członków, opłacających składkę; rozrządza przeto znacznymi funduszami. Każdy członek otrzymuje bezpłatnie pismo czasowe i dzieła wydawane nakładem *Maticy*; a nęż do niej nietylko literaci, ale wszyscy ci, którzy powodzenie piśmiennictwa krajowego obchodzą.

Tym sposobem dzieła czeskie rozchodzą się tcamy egzemplarzy, czytane są w całym kraju, od najwyższych do najniższych, od pysznych salonów, ubogiej izdebki wyrobnika.

Jęż staraniem Czechy chlubić się już mogą swoją

nowoczesną literaturą, choć ona jeszcze nie dosięgła wyzyna, na których kiedyś z pewnością stanie.

Na wzór czeskiej powstały i inne Maticy, jak: serbska, łużycka, i t. d., a wszystkie błogi wpływ na oświatę wywierają.

Ciekawąby rzeczą było, poznać bliżej urzędzenia Maticy, jej statystykę wydawniczą, i historią podającą dokładniej rozwój i postęp tego użytecznego zakładu.

Dziś w Czechach trudno znaleźć włościanina, rękodzielnika lub wyrobnika, coby czytać nie umiał, to też był niższych klas społeczeństwa jest bardzo pomysłny, a włościanie w ogóle są zamożni oszczędni i gospodarni.

Główną przyczyną poniżenia i ubóstwa klas niższych, pijaństwa, próżniactwa i demoralizacji, jest bezzaprzeczenia brak oświaty. Starac się o jej rozszerzenie, jest obowiązkiem każdego, bo wtenczas dopiero błogi był kwiat i każdy bez wyjątku poczuje się z obowiązku do pracowania dla siebie i bliźniego, gdy światło nauki rozjaśni ciemności, które w szkodliwych nałogach, gusłach i zabobonach niższe a liczne klasy społeczeństwa trzymają.

Józef Bogusław Słuska,

kasztelan wileński, hetman polny litewski.

(Dokończenie.)

W bezkrólewiu po Janie III Słuska dosyć głośno występuje. Na sejmie konwokacyjnym przydany do pomocy razem z innymi senatorami księciu prymasowi (Vol. leg. V, 840), podpisał konfederacją generalną (tamże str. 847). Trudno wiedzieć jakie były jego myśli o Sobieskich, ale zdaje się, że z początku razem z hetmanem Sapiehą sprzyjał królewiczowi Jakubowi, potem już z całym stronnictwem przyłączył się do Kontego. Ruchliwe było wtenczas bardzo oblicze szlachty polskiej. Każdy z obozu przechodził do obozu, jak mu wygodnie było, jak płątały się okoliczności. Słuska długo się trzymał przy Kontim, ale i jego cierpliwość miała swoje granice. Zdradził księcia francuzkiego w stanowczej chwili. Gdy albowiem przed samą elekcją stronnicy królewicza Jakuba użyli ostatnich wysiłków, aby zapobiedz tryumfowi Francji, trzej hetmanowie, dwaj koronni i jeden litewski Słuska, stanęli obok siebie, jak kiedyś w sprawie Sapiehy nad Dniestrem; tylko wtenczas bronili Sapiehy, a dzisiaj go opuszczali. Szczęśny Potocki, wojewoda krakowski, hetman polny kor. był winien wszystkiemu. Senator ten nie miał serca do Niemca, do Sasa i wolałby widzieć na tronie księcia lotaryńskiego, ale na nieszczęście książe nie miał pieniędzy. Rozpoczął zatem rokowania z kardynałem i z Polignakiem. Chciał, żeby mu wypłacili 60,000 tal. a połowę z góry; w takim razie obiecał z całym swoim stronnictwem, które zwłoczyło, przejść pod znamiona Kontego. Ale ani kardynał-prymas, ani poseł francuzki dać żądanych pieniędzy nie mogli. Wtedy, jak opowiada Bizardier, Potocki sprzedał się Sasom, więcej przez chęć woi jak przez przywiązanie (Bezkrólewie po Janie III Sobieskim, str. 414). Miał Potocki wpływ wielki na panów koronnych, bo zaraz poszli za jego przykładem Stanisław Jabłonowski, hetman w. kor., Józef Słuska, biskup kujawski Dąbski i podkanclerzy kor. Karol Tarło. Były to same szczątki stronnictwa królewicza Jakuba. Wojewoda łużycki Rafał Leszczyński choćby może i chciał, nie mógł naśladować swoich przyjaciół, bo zmarł się, że laska marszałkowska minęła syna i zachorował niebezpiecznie.

Słuska w dni kilka później podpisał elekcją księcia saskiego z województwem wileńskim. Dwóch tylko senatorów, rzadkim przykładem było w tej uroczystej chwili z województwem; pierwszym podpisał się Konstanty Brzostowski biskup, drugim zaraz Słuska, za nim szły głosy rycerskie (Vol. leg. V, 877). Nie przestając na tym, położył hetman polny swój podpis na „oznajmieniu króla nowo obranego“ (tamże str. 984) razem z innymi trzema hetmanami. Niema wątpliwości, że Augusta II ci trzej panowie głównie utrzymali, dlatego szlachta długo powtarzała o elekcji trzech hetmanów. Po tym także wziąć możemy wyobrażenie, jaki urok w dawnych czasach miała butawa. Trzej hetmanowie szli za prywatą: na czele mniejszości, przeciw ogromnej większości narodu. Była i za Kontim tu i owdzie prywatą, ale ogół szlachty imponował. Jabłonowski, Potocki i Słuska nie słuchali głosu powinności, ale rozdrażnienia i osobistych widoków.

Król ujrzał się na początku panowania wśród wojny domowej, która wybuchnęła na Litwie pomiędzy szlachtą a Sapiehami. Wydawał uniwersały do województw i powiatów, ażeby zaprzestała zgiełku wojennego. Nic to nie pomagało, a w Czerei, Dąbrownie,

Borysowie i Berezynie, szlachta po dobrach sapieżyńskich wszędzie stacye wybierała. Chorągwie tatarskie ścigały się do Oniksz z podmowy hetmana Sapiehy. Napadł na nie z nagła Grzegorz Ogiński, chorąży lit., pobrał i powiązał. Król wtedy wyznaczył kommissarzów do traktowania z chorągym, z wojskiem i białoruskimi województwami, żeby jako ten płomień uspokoić. Słuska był pierwszym kommissarzem, jako hetman i jako Litwin, drugim był koronny senator Rafał Leszczyński, wojewoda łużycki, generał wielkopolski. Ale nic nie sprawili, szlachta ich nawet nie dopuściła do siebie. Skutkiem tych serdecznych zażądań było to, że następny sejm pacyfikacyjny zwołany na miesiąc kwiecień do Warszawy, rozpełzł się po dwóch niedzielach swarów (Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, str. 194).

Wybuchła wojna domowa, Słuska nie brał w niej po żadnej stronie udziału, ale za to wojsko jego było się po stronie Sapiehy. W listopadzie mimo Usnarza, w którym bawił się Krzysztof Zawisza, starosta miński, pobiegł do Grodna. Byłby wstąpił do Usnarza, gdyby wiedział o przyjacielu. Zawisza musiał udać się do Kamionki, to jest do obozu rzeczypospolitej, w którym kupiło się pospolite ruszenie województw i powiatów. Przyjęły go krzyki, bo wieści były, że pan Zawisza zrywał swoje stosunki przyjaźni z Sapiehami. W grudniu zanościło się na jakieś układy, do których rękę podawał podskarbi w. lit. Benedykt Sapieha, ale gdy oddalił się do króla bawiącego w Brześciu, cofnął się zaraz hetman w. lit. z pod Kamionki do Łunny, żeby nie było traktatu. Tej zaraz nocy chodził na niego podjazd rzeczypospolitej pod wodzą Pocięja, chorążego chorągiewnego. Nabila szlachtę i nabrała gwałt Tatarów, chorągwi pięć wzięła gołych, dwie z towarzystwem dobrowolnie do niej przystąpiły, t. j. jedna w której pan Eymont był porucznikiem i druga pancerna pana Litawy. Przeszła wtedy na stronę rzeczypospolitej od Sapiehy i chorągiew tatarska Słuski, hetmana polnego. (Pamiętniki Krz. Zawiszy pod r. 1698, str. 201.)

Nie wojując było wtenczas Słusce, bo ciągle a ciągle chorował. „Pod koniec dni swoich, mówi o nim Załuski, słabego był zdrowia i prawie zupełnie go nie miał, nie mu nie było tak zwyczajnego, jak chorować“ (nihilque ei tam familiare fuit, quam aegrotare; Załuski, Epistolae hist. famil. tom III, str. 157). Umarł w styczniu 1702 r. Charakterystyczne są bardzo te słowa, które Załuski o tym wypadku rozpowiada. Tłumaczmygo dosłownie: „Nie malujemy panegiryków, ale piórem jakby pędzlem opisujemy wartość człowieka, który na jakąkolwiek zasłużył chwałę. Ale nietylko ważne jest rozszerzać się nad tym, jakimi to wielcy ludzie być powinni, jaką mieli postać i rysy; ważniejsze opowiadać i wykladać, jakimi byli. Ale ta uwaga nie idzie do Słuski. Pomijam ludzi, których sława ulotniła się wraz z życiem.“ Następnie Załuski znalazł słów kilka do powiedzenia o matce zmarłego hetmana, owęj sławnej, illius famosae, Annie Potockiej, którą kiedyś Cybelą, matkę bogów nazywał. To pewna, że do bogów nie policzył hetmana, kiedy mówi, że sława jego przeminęła z życiem. W wieku panegiryków, Załuski, sam nieposłędni chwalcą na tylu pogrzebach i weselach, z powodu Słuski odzywa się jednak, że nie pisze pochwał. To charakterystyczne. Biskup znał hetmana lepiej jak my, którzy dotąd o jego charakterze i wartości możemy sądzić jedynie z tych kilku, kilkunastu zebranych tutaj faktów. Świadectwo biskupa nie przypadło jednak na korzyść hetmańską.

Umierając bezdzietnym, wojewoda zostawił wdową żonę Teresę z Gosiewskich. Pani ta niedługo ponowiła małżeńskie śluby z Kazmirzem Sapiehą, hetmanem w. lit. i wojewodą wileńskim. Ale i z tym była bezdzietną i wkrótce umarła. Siostra jej rodzona Zofia Przyjemńska, podstolina koronna, nie miała również dzieci. Tak ród Słusków wymierał i po mieczu i po kądzieli. Po zejściu hetmańskim, jedynym jego w linii męskiej reprezentantem był wojewoda polecki. Senator dumny poniewieriał szlachtą, kiedy mu opór stawiała, a mimo to zasłużony; trzy razy marszałkował na trybunale litewskim, był kommissarzem do traktowania o wieczny pokój z carami rossyjskimi, bił się za rzeczpospolitą. Ożenił się z Konstancją Podbereską, wojewodzianką smoleńską, starościanką upitską i gulbińską, ale z nią „żadnego nie miał domu swego i imienia successora.“ Za życia brata jeszcze urządził sobie pałac w Wilnie na Antokolu, ponad samą Wilią, kiedy do niego w r. 1700, odprawiając wspaniałe imieniny, gości sprosił i obficie po pańsku częstował. Jednocześnie kasztelan sprawił wesele w pałacu sługom swoim, żeby było wesoło. (Pamiętniki Krz. Zawiszy, str. 72.)

Pan hetman lubił takie obchody. Nie zarzekał się również przysługi obywatelskiej i w innych okoli-

cznościach. Mamy jedną mowę jego weselną. W Brześciu 27 kwietnia 1687 Stefan Kurcz, wojewoda brzeski, oddawał Ludwikę Sapieżankę, pisarzównę polną koronną, Konstantemu kniaziovi Szujskiemu, chorążemu wojewódzwa brzeskiego, wdowcowi już po dwóch żonach, z których druga była Konopacka, podkomorzanka chełmińska; stryjeczna siostra tej podkomorzanki, była za hetmanem Gosiewskim i to tłumaczy wystąpienie oratorskie Słuski, który „należymy imię panny pisarzówny pokonany respektem“ ustąpił „dobrowolnie z pola polny hetman“ (Swada Himeneuszowa, str. 104).

Dominik, wojewoda polecki, umarł w Wilnie, w końcu stycznia 1713 r. ostatnim potomkiem rodziny, która tylko czterema zabłysła senatorami. Majątek ich niewiadomo w czyje dostał się ręce. Może w dom Denhoffów i Jabłonowskich. Siostra przyrodnia Słusków, wdowa po Władysławie, wojewodzie pomorskim, poszła powtórnie za mąż za Ernesta Denhoffa, wojewodę malborskiego. Z pierwszego małżeństwa miała syna Stanisława, który potem za Augusta II nienawidził się z Ludwikiem Pocięjem, kiedy się obadwaj spotkali przy butawie. Pocięj był wielkim a Denhoff polnym. Ale Pocięj był niegdyś porucznikiem u hetmana Słuski i ztąd siostrzeniec hetmański dumą się rzucał, że niższe zajmuje stanowisko od sługi swojego. Rozpowiada nam o tym Erazm Otwinowski. Tak jeszcze w późniejszych czasach, nawet wspomnienia o Słuskach dawały pole do zajęć i nieporozumień w rzeczypospolitej.

Julian Bartoszewicz.

Polskie oznaki godności i broń sieczna.

Znowu dajemy czytelnikom naszym wyjątek z Albumu wystawy starożytności, które p. Beyer przed dwoma laty w Krakowie wykonał. Album to rozeszło się zaledwie w kilkudziesięciu egzemplarzach; mając więc pozwolenie czerpania w niem, czynimy to rzecz nowa i pożyteczna. Niniejsze pięć przedmiotów są powtórzeniem tablicy XXIII i pochodzą wszystkie ze zbrojowni kurnickiej; nawet ze zwidzających wystawę nie wszyscy je widzieli, nadesłane bowiem zostały przez s. p. Tytusa hr. Działyńskiego na kilka tygodni przed jej zamknięciem.

W opisie naszym zmuszeni jesteśmy posilkować się kilkoma pobieżnymi notatami, gdyż z żalem przypominieć nam wypada, że nie posiadamy jeszcze katalogu powyższej wystawy, a żal nam tym bardziej, że już w rękopisie istnieje i tylko o uporządkowanie i kosztą druku chodzi. Niech szanowne Towarzystwo Naukowe wybaczy, ale my nie przestaniemy kolatać dopóki tej ze wszelkich miar potrzebnej i nauczającej pracy nie uzyskamy. Karol Rogawski, Józef Lepkowski, prof. Józef Kremer, s. p. Karol Kremer, professor Helcel, Franciszek Paszkowski, Jan hr. Załuski, Zegota Pauli, Teofil Żebrawski, Gusta Czernicki i wielu innych około tej pracy się krzątali i znieść nie możemy myśli, aby w ukryciu bezużytecznie pozostać miała. A zle przykłady skutkują, o katalogu wystawy lwowskiej także coś nie słyhać, wszakże ta podobno jeszcze otwarta, więc czekajmy końca. Nie tracąc nadziei, że katalog choć późno, że jednak kiedyś wyjdzie, dajemy naszym zabytkom numeru wystawy, aby można było z czasem uzupełnić lub sprostować przez nas podaną wiadomość.

Nr. 2508. *Buzdygan* srebrny złożony i turkusami wysadzany, zapewne wschodniej roboty; głowa jego o sześciu przedziałach tak zwanych piórach, składa się z cienkich blaszek na drzewie osadzonych. Wiotkość materiału i cennosc kruszcu przemawiają za tem, iż tylko podczas uroczystych obchodów używano bywał. Według powszechnego mniemania buzdyan był oznaką godności rotmistrzów, poruczników i chorążych, ale czy między temi nie było różnicy? mało o tem wiemy. Co do nas, my buzdyan niniejszy uważamy za coś lepszego, widzieliśmy podobny kształtem na portretach współczesnych w rękę hetmanów polnych. Był też na wystawie krakowskiej pod Nr. 176. jako po Stanisławie Jabłonowskim, het. w. k. pozostały, także srebrny i tegoż kształtu.

Nr. 2510. *Buzdygan* właściwy, żelazny, ciężki, z ozdobami na wylot rzeźbionymi i złotem nabijanymi. Nie pamiętamy czy ten miał broń wewnątrz ukrytą, ale zwykle tak bywa, że w buzdyanie mieści się sztylet stalowy, okrągły, na stopę długi, który tak umocowanym być może, iż sterczy na zewnątrz, a wtedy oznaka godności na dzielną broń się zamienia.

Nr. 2502. *Szabla* w srebro okuta, z rękojeścią kosztownym jaszczurem pokrytą i jęczem krótkim krzyżowym. Jaszczur podobny nadzwyczaj był swego czasu poszukiwany dla oprawy rękojeści, gdyż wiernie

leżał w rękę a był niezdarły; owszem przez używanie nabierał połysku pereł. Jelcem nazywano tę część rękojści, która osłaniała rękę: walyby krzyżowe, z rzu małe, potem coraz większe, tarczowe, kabląkowe, a gdy kilka pretów rękę jakby koszem osłaniało, zwano to furdymentem. Powiemy nawiasem, że tych zagranicznych wymyślił u nas nie lubiono wcale i chętnie z nich żartowano: „Junak ten, pisze Zablocki, na ogromnym pokazuje furdymencie zamiast szabli, ucho zajęcze.“

Nr 2493. *Karabela* w srebro złoczone oprawna, gęsto drogiemi kamieniami wysadzana z rękojścią krwawnikową złotem nabijaną, jelec krzyżowy srebrny, na głównej (klindze) blachmalową robotą pogoń złota. Niektórzy nazwę karabeli od arabeli, szabli arabskiej, wywodzą, u nas już w początku XVI wieku była mianem najbogatszej wschodniego kształtu bez kabląka z kamienną rękojścią szabli. Wacław Potocki w poczcie herbów 1698 r. tak utyskuje: „pókimsy miecze, pałasze i kordy nosili, nie baliśmy się hordy; aż gdy z karabelkami nastąpią czeczugi, nie orzą w Ukrainie i w Podolu plugi.“ (Czczuga, rodzaj lekkiej szabli, której rękojść i pochwa powleczoneą była skórą ryby czeczugi z rodzaju jesiotrów).

Nr 2495. *Palasz* w srebro okuty, rękojść jaszczurem wyłożona, jelec kabląkowy ze skobelkiem dla wielkiego palca. Wszelkie okucia pokryte ozdobami rytowanymi w stylu pięwskiej połowy zeszłego wieku; rapcie jedwabne złociste ze skuwkami także srebrnymi, współczesne. Piękna ta broń tem szacowniejsza dla nas że kompletna; o co dziś bardzo trudno. Na wystawie krakowskiej w pośród kilkuset rozmaitych szabli zaledwie kilka było z rapcami. Nawiazanie rapci bywało rozmaite, raz były krótkie utrzymujące szabłę u samego pasa, to znów tak długie że się po ziemi wlokło, czasem tak skomplikowane iż je porównywano do pólzorka. Robiono je z rzemienia, sznura lub tasmę; te ostatnie bywały zwykle koloru żupana.

Mamy tu trzy rodzaje szabli, a każdą się inne nazwisko należy. Wieleż to jest jeszcze nazwisk do których szabli nie znamy? to je zwano według kształtu indyczka (za Kazmirza Jagiellończyka dla podobieństwa szyi indyka) różeczka, brzytwka, scyzorykiem (Pan Tadeusz) to znów od pochodzenia: ordynka (zdobyta na hordzie) multanka, węgierka, arabela, karabela, demeska, damascenka, staszówką (od miejsca wyrobu Staszów w Sandomierskiem) dalej zygmunówką, batorówką, augustówką od królów, którzy niemi meztwo nagradzali; przybyszą jeszcze ogólne miana jak kord, bulat, lub odnoszące się do materiału jak czeczuga, serpentynka i t. d. Jest to mała czaszka nazw u nas używanych, dostarczyła ich nam rozprawa Józefa Lępkowskiego o *broni siecznej*, lecz wieleż to ich być musiało w narodzie, który od czterech wieków wyłącznie szabli używając nie rozłączał się z nią prawie nigdy; *choć bosu a z kordem, bez karabeli ani z paścieli*. W narodzie w którym żydzi nawet nosili szabie, bo im Zygmunt August zakazuje noszenia przy nich złotych i srebrnych łańcuchów.

Używanie u nas broni siecznej krzywej jest niestychanie dawne, na posagu Swiatowida nawet znajdujemy rodzaj bulata nieco zgietego skośnie, na końcu przyciętego; w pieśni o wyprawie Igora na Polowców znajdujemy także nazwę szabli od różnioną od nazwy miecza; lecz że u nas jak i wszędzie broń się brała po wrogu i była najcenniejszym łupem, oczywista, że póki walczyliśmy z Niemcami, a potem Krzyżakami zbroja ciężka i miecz były nieodzowne. Później do harców z Tatarami, Turkami i t. d. ubiór lżejszy i broń krzywa lepiej się nadały. Wtedy to, tak Polska jak i Węgry zostały granicą broni prostej i krzywej; od nas na zachód prosta, na wschód skrzywiona. Za wojen szwedzkich nastąpiło u nas wprawdzie prostsze i ciężkie pałasze z rękojścią osłoniętą, za Sasów pokazały się zdradzieckie szpady.

K. B.

ZYTOMIERZ.

Gdy długie i smutne bory po płaszczynach rozszlana przebywszy, podróżny ujrzy przed sobą sznurmem stojące białe domy, wieże kilku kościołów i smukłe drzew weselszych kupki, osłaniające malownicze brzegi Teterowa, nie może się oprzeć miłemu wrażeniu jakie czyni ta oaza wśród głuchych pustyni, otaczających ją w kolo. Ale zrazu Żytomierz zadróśno ukrywa co ma najpiękniejszego, skały swoje, rzeki, góry; z kilku stron przybyć i przebyć go można, niedomyślając się piękności okolicy. Najmnie jednak wprawne oko dojrzy w ulicach miasta pełnych życia, ostawionych świeżymi i kończącymi się dopiero kamienicami, jedno z tych ognisk z których ciepło i światło rozlewają się na szeroką krainę. Poznasz to zaraz, rzekłbym z twarzy mieszkańców, z żywego chodu spotkanych ludzi, z fizjonomii nieco amerykańskiej miasteczka, które czujesz zaimprovizowaną siłą gwałtowną, nagłą, z pośpiechem jakimś gorączkowym. Spozstrzegasz ledwie wytknięte ulice, na których niebrukowanym i nierównym gruncie znać jeszcze świeżo zapuszczone zagony, a wśród nich murwane domy piętrowe... i schludne dworki czekające, by kałuża co przed niemi stoi wymoszczoną i osuszoną została.

Oblicze to ma Żytomierz wszędzie, a ze starych lat jego powolnego życia ledwie gdzie schwytać można szczątek, pochylony domek naznaczony na zbiecie, karczma, która się chyli i zapada, nieśmiało skleconą kamieniczkę o drobnych okienkach. Ale tuż obok, wśród zabudowującego się placu, którego ulic rozeznacć jeszcze trudno, bo są takie co ledwie po jednym mają domie, wznosi się wielka i imponująca budowa teatru, dalej wspaniałe pałacyk, rozległe sklepy i przy nich kramiki drewniane. Chociażem ich nie widział jeszcze, jestem pewny, że niektóre młode miasta amerykańskie tak jakoś wyglądać muszą. A jednak ta osada nad Teterowem, ta stolica żytniego świata (Żyto-mir), jest już bardzo stara, ale nowy żywot ją tak niesłychanie odmłodnił, odświeżył i dał jej tę wesołą twarz wiosenną.

Otoczony dawniej lasami ogromnemi, które aż w miasto się prawie wciskały, Żytomierz spał od XIII wieku u brzegów Teterowa i Kamionki, a Włodzimierz, Luck, Dubno, Berdyczów, Kijów, główne ogniska życia Wołynia i Ukrainy odbierały mu wagę i znaczenie. Nie mógł się on podnieść wcześniej, bo nie tu nie zcentralizowało żywota prowincyj, nie ku niemu nie pociągalo. Zameczek stał sobie na górze nagiej nad rzeczką, a w kolo niego drewniana mieścina cisnęła się ze strachu jakiej niespodzianej napaści. Gedymin idąc na Kijów z ławnością zdobył ów gródek, a kroniki ledwie o tem wspominają, tak to przyszło lekko i mimochodem,



Nr. 2495. Nr. 2510. Nr. 2508. Nr. 2493. Nr. 2502.
POLSKIE OZNAKI GODNOŚCI I BRON SIECZNA. (Rysował Lewicki, podług fotografii Beyera.)

milczy historia o dalszych losach Żytomierza aż do oddania go przez Witolda Skirgielle, a potem przez cały wiek XV znów nie odszukać o nim nie można. Zdaje się wszakże, w tem czasie stanęła może jaka cerkiewka, stał jaki kościółek.

Jeśli podanie prawdziwe, miał tu wprzód jeszcze przechodzący do Kijowa św. Jacek założyć missyę, którą niewiadomo kiedy i jak Tatarowie, w jednym z napadów wyrzawszy zakonników, zniszczyli. Głucha tylko przechowała się o tem tradycja.

Stalo się się to, nikt nie wie jak, przyszło nie powiem zkad i na raz poczęły się walić stare domostwa prostowate ulice, wznosić mury, zaludniać place, piętrować pałace i domy... Kto mógł i kto nie mógł sta-

W XVI wieku uwolniono od myt mieszkańców, przy wozeniu żywności do miasta, zameczek w połowie tego wieku się spalił, ale musiał być odbudowany, bo za Stefana opatrzony był znowu w działa i prochy. Trochę podbudzone życie przegląda przez przywileje małej wagi i przez spory mieszkańców ze starościńską władzą, które nas doszły. W samym końcu wieku ustanowiono nareście jarmarki, w początku XVII wieku już wznoszący Żytomierz tatarski napad zniszczył do szczytu.

Potrzeba było nowe rozpoczynać życie... ale z gruzów i popiołów zielsko tylko i trawy przedko powstają, ludzie nie rosną tak szybko, a rozproszeni nie powracają łatwo. Wszakże powoli znów się to krzepić i odrastać poczęło, choć nikt się tem tak dalece nie opiekował. Miasta jak to starościńskie, rządowe nie miały takiej nad sobą troskliwości jak prywatne; ciężej więc im było o własnych siłach powetować klęskę. Zaledwie dzwignięty z rumowisk Żytomierz czasu wojen Chmielnickiego, znowu został napadnięty i obrócony w perzynę. Los ten zresztą był mu wspólny z wielą innymi grodkami Wołynia, bo mało który ostał się w tych zaburzeniach cało.

W roku 1667 przeniesienie sądów ziemskich z Kijowa do Żytomierza zaświeciło mu lepszą gwiazdą i było epoką od której stając się urzędową stolicą kawatka ziemi, trochę życia w sobie skupiać zaczął. Sąd to jest zaraz palestra, to klienci, to zjazdy, a wtaż idą dworki i gospody i co tłumniejszemu zbiorowisku potrzebne. I to jest chwila od której tu poczyna się istotnie wznosić miasto, a zakrawać na to czem się stać ma później. W XVIII w. wznoszą się domy, zakładają kościoły, wprowadzają szkoły, wreszcie w r. 1796 Żytomierz przez nową organizację kraju staje się stolicą prowincji i na dobre wznosić się musi, aby temu nowemu szczytowi odpowiedzieć. Ale obyczaj wieku skromniejszy, choć i ludność przybyła i ożywiło się znacznie, nie wymagał wiele, więcej tylko powstało drewnianych dworów o gankach ze słupami, o kamienicy ledwie kto pomyślał, pałac głównego naczelnika nawet stanął z tego drzewa lasów sąsiednich, które w dwanaście cali w kwadrat łatwo było obrobić. Jeszcze dziś zajrzeć do lasów kolo Deneszwów a zadziwić się trzeba dębom tamtejszym, które może jagiellońskie pamiętają czasy.

Wszakże choć to się już rozrastało i krzepiło, do naszych az czasów dotrwał prawie Żytomierz skromnym miastem prowincjonalnym, az jedynego poranku wionął nań duch, porywa gorączka wzrostu i zachęcie słobeczne...

Stalo się się to, nikt nie wie jak, przyszło nie powiem zkad i na raz poczęły się walić stare domostwa prostowate ulice, wznosić mury, zaludniać place, piętrować pałace i domy... Kto mógł i kto nie mógł sta-

wiali je na wycięgi wszędy, z tym zapędem niewytłumaczonym, który tak dobrze miasta jak ludzi czasem ogarnia.

Widać przyszła nań taka godzina, zapisana w księdze przeznaczeń i stał się Żytomierz tem czem jest dzisiaj, jednym z najładniejszych i najożywiejszych miast prowincjonalnych kraju...

Współcześnie z murami wzrósł jakoś i duch i ochota postępu i poczucie się do obowiązków społecznych. Więc też stanął teatr szlachecki, dalej dwie i trzy wzniosły się księgarnie, kilka drukarni otworzyły się prawie współcześnie. Nie mówię o klubie, o balach i o sklepach... z delikatesami... Na ostatku przyszły odczyty popularne... coż chcecie więcej?

Wszystko to przepięknie, ale mówicie co chcecie, ja nie lubię tego co się robi zbyt prędko i gorączkowo. Naturą gorączek jest że zabijają lub same zabite być mogą, a trwać nie umieją. Wolę to co rośnie powoli, stopniowo, powolnie... ale, Żytomierz ma się czem tłumaczyć. Kto jak on kilkadziesiąt lat czekał, temu pilno potem na swoim postawić. A wreszcie miasta amerykańskie nie także jak grzyby i Żytomierz wyrastają i dobrze im z tem! Dlatego nie mu nie wróżę złego i owszem, po tych szybko położonych fundamentach, powoli będzie się krzepić i umacniać. Ale żeśmy go wszędy wdziali jak niespodzianie zobrzył w niepojęty sposób, że ten cud stał się w oczach naszych nikt mi nie zaprzeczy. Kilka maleńkich lat starczyły za dziesiątki, a ludność w przeciągu tego czasu prawie się podwoiła. Byłoby to sztyderstwem losu, gdyby nie było raczej przecuciem przeznaczeń i posłannictwa.

My wierzym mocno w ostatnie.

Może być bardzo że po tak szybkim wzroście nastąpi chwilką osłabienia, jak u tych młodych ludzi, którzy nagle wybiegłszy w górę błędą i nim się skrępią, walczą z nową formą życia, lecz potem siły rosną, dłoń się hartuje i młodzieniec staje się mężem.

Ze starego Żytomierza nic tu prawie nie zostało, boć i katedra Ożgi nie tak dawna i kościół pobernardynski choć słabo stoi nie wiekowy i wszystko to stonkunkowo współczesne... az przyko, bez pamiętek... nie, kilka mogił na cmentarzach, kilka gop których nazwiska coś przypomnieć mogą i kilka wspomnień co jako rozsunte białe obłoczki ledwie się na jasnym niebie dostrzedz dają.

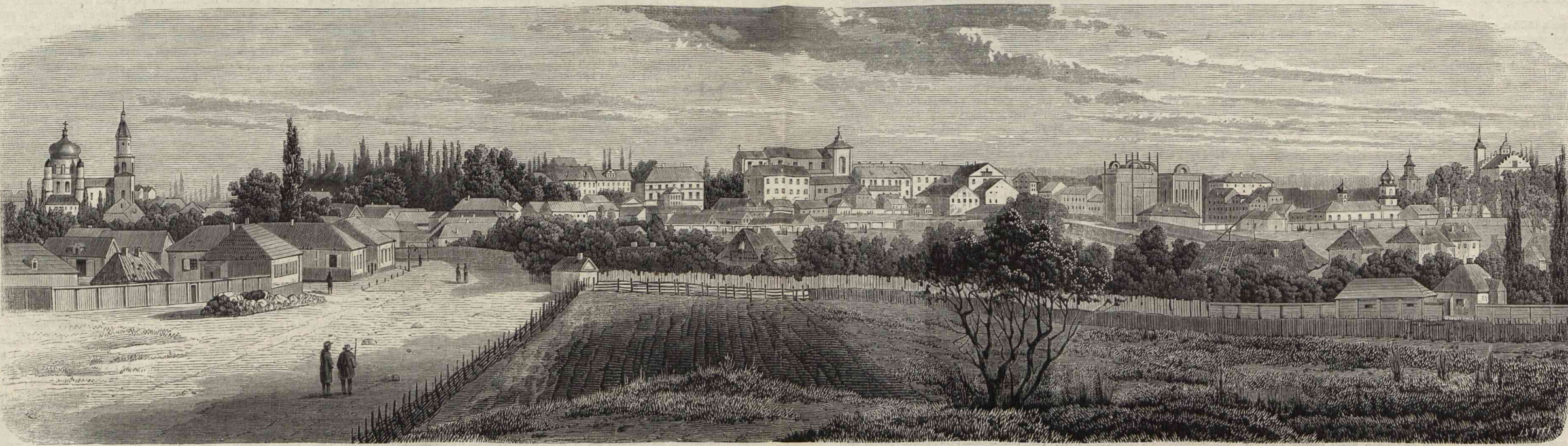
Alaż natura! znijdziecie nad Kamionkę, którą w bryłach przed wieki tu naniesionych przejść można suchą nogą, pojedźmy nad brzegi Teterowa, ubrane w skały olbrzymie granitu, z których jedną nosi imię Czackiego... i ztąd popatrzcie na najstarsze pamiętki Bożą nagromadzone dionią.

Tu cudnie, tu dziko, tu smutno, ale tak pięknie, że artystycznie nie zechce się odejść, a w tym co czuć umię i podziwiać, rodzi się jakieś uczucie, wielkie i tajemnicze, jakby w obec zagadki, którą koniecznie odgadnąć trzeba, a rozwiązać nie można.

Natura coś tu napisała temi granitami, wodą, drzewami, wzgórzami, co człowiek odczytać sili się próżno... a wiekuiasty napis go ciągnie i porywa. Z gniewu, bezsilności widać popsuto nieco tę okolicę, wyrabano drzewa, polamano skały, wyturbowano zarosła, ajeszce ten brzeg uroczy swemi ranami i bliznami skarży się, boli, mówi...

Pięknie jest kolo Sokuli, ale dalej w tej cichej dolinie z której ram w dali patrzy miasto... tam najszlachetniej, tam by się chciało pobudować na skale wysoko, domek maleńki i otoczony ogrodem i połączyć drutem telegraficznym ze światem, a od ludzi murem odgrodzić i siedzieć cicho, długo, aby się potem kiedyś na drugim wzgórzu położyć na wieczny spoczynek.

Mówilem tylko o mieście, nie wspomnieć o mieścianach... a dużo mógłbym dobrego powiedzieć, lecz czyż nie posadzą o pochiebstwo? Mieszkańcy są jak samo miasto młodzi sercem i uczuciem nad miarę; pragną dobra, garną się ku niemu, a jeśli po drodze przyjdzie co ciężkiego, czasem się znie-



WIDOK OGÓLNY ŻYTOMIERZA. (Rysował z natury Fabiański, na drzewie Cegliński.)

KODEKS CYWILNY

I PROCEDURA MAŁŻEŃSKA.

Uwertura jak w operze.

Kiedy panienska dorosnie, wiadome rzeczy ze w skutek dziwnego układu rzeczy w społeczeństwie, nie może robić kariery publicznej. Zamknięte dla niej pulki jazdy i piechoty, ministeria spraw zagranicznych i wewnętrznych; barbarzyński zwyczaj, każe jej nawet rodzinne stracić nazwisko. Jedyna kariery kobiety, pójsz za mąż, zniknąć z widowni publicznej, i kontentować się znaczeniem przymiotnikowem. Kiedy mąż zawsze jest rzeczownikiem, tytułują go: generał, półkownik, sędzia, radca, minister, poeta, literat, artysta dziedzic, właściciel, biedna żona jest tylko tytułowana przymiotnikowo: generałowa, pułkownikowa, ministrowa, literatowa, artystowa, chyba jeszcze jako dziedziczka i właścicielka bywa rzeczownikiem.

Tam zwykle rodzą się bunt, gdzie kogoś biada dolega, nie dziwnego że kobieta od stworzenia świata była i jest w rokossu, aby się wydobyć z poniżenia. Ze się tam udało królować jakiej Kleopatrze albo Elżbiecie, potężnym berłem, że niepodległe zaśpiewała jako Safo albo Deotyma, nie idzie za tym ażeby kobiety logicznie zdążyły do celu. Dopiero wiek dziewiętnasty logiczny niesłychanie, a marzący jedynie o doskonałej organizacji, pobudził i kobiety do działania spolem, gromadnie, aby zdążyć do jednego celu. Jakoż w naszym wieku dopiero pojawiły się tu i owdzie agitacje kobiet systematyczne, poformowały się kluby, zaczęły obrady sejmowe, towarzystwa uorganizowane, wielki ruch począł się u pleci pięknej w celu wydobyć się na wolność. Dotąd jednakże nie widać kobiety-geniuszu, któraby wywiesiła sztandar i powołała do broni współtowarzyszki niedoli. Tu i owdzie widać zdolności adwokackie, generalskie, półkownicze, ale prawodawcy i hetmana niewieściego nie widać jeszcze. Jak pojawi się geniusz potrzebny, mogą zapewnić że popelniać będzie te same błędy co Napoleon pierwszy. Najpierw będzie chciał od razu za wiele, a do przeprowadzenia tej wielkiej idei, używać będzie starodawniej broni. Napoleon wygrywał bitwy, rzucając do boju massy ludzi, obracając nimi bardzo zręcznie; ale stary karabin strzelał niedaleko, szabla krajała po staremu, żołnierz nie miał przewagi nad przeciwnikiem. Napoleon trzeci nieposiada geniuszu stryja, ale ma strzelców celnych, z dalekością bronią, i gwintowane działa bijące jak karabin celnie, dlatego bitwy wygrywa. Jestem więc pewny że geniusz kobiety chociaż będzie działał massami, zostawi broń starą, krótkonosną, a z walnych bitew nie będzie wielkiego rezultatu, dopóki nie odbędzie się reforma w arsenał! Tego się tylko boję, a nim to nastąpi, chcę ku pożytkowi zagrożonych braci, przejrzeć broń i amunicję kobiet dotychczasową, aby to poszło na pożytek publiczny.

I.

Brylant w sutęj oprawie.

W jednej i tej samej parafii, były jednocześnie dwie panny na wydaniu, a podlotek łaska pana Boga. Ta parafia była dla pańien jakby Eldorado, bo była w kawalerów ludna, nieszukając tedy daleko można było wyjść za mąż i wcale dobrze. Ku ułatwieniu tej sprawy miała też parafia owieczki zgodne, ośm starych dewotek, czternaście babek, a nie było ani jednej dojrzałej niewiasty, któraby nie była dwanaście razy ciotką, trzy razy starszą siostrą, pięć razy chrześną matką. Zład ani jednej pani dobrodziejki nie było bez powagi, w każdym wypadku była gotowa rada, w każdej radzie komplet stanowczych głosów, a zgoda osobiłwsza!

Ciekawi jesteście, gdzie taka parafia? Chociażbym wam i powiedział, na nic się to nikomu nie zda. Wioski tutaj nie kupisz, bo ziemia dobra, urodzaje wyborne, gospodarstwo wzorowe, ludzie trzymają się ziemi rękami i nogami. Ożenić się? I to niepodobna, bo panny ładne, posagi w gotowiznie, a chłopców miejscowych jedenastu!

Otóż więc, gdy dorosła panna Jadwiga Grzymalancka i Józia Nałęczowna, jedenastu kawalerów skonfederowało się; aby tych domowych skarbów niewypuścić za obręb parafii.

Panna Jadwiga miała rodziców, dom uczęszczany ochotnie przez ludzi, ojca z powagą, matkę kochaną powszechnie, stosunki familijne nader rozgążone.

Józia Nałęczowna była sierota, na opiece stryjostwa, miała stosunki familijne nie mniej dostojne, ale posazek nie wielki, bo tylko czterdzieści ośm tysięcy, które stryjaszek kazał zawdzięczać swojemu poświęceniu. Kupił zadłużoną wioskę po jej ojcu, dokazywał niby

cudów waleczności z wierzycielami, wykroił ten posag i wyprawę; a zaledwie Józia dorosła, było mu pilno wydać ją za mąż, a męża znaleźć z ambicyą i delikatnością, któryby nie wdawał się z opieką w rachunki. Ze sierota na opiekunowskim chlebie urosła pokornie, to już zwyczajna koleją rzeczy ludzkich; a że była przesliczna szatynka, z cudną talią, przepyszniemi oczami, anielskim obliczem, to już dała tak sprawiedliwa Opatrzność Boska, która głodnej kochania i pieśczoć sierocie dosypała wdzięków hojną ręką, ażeby miał co wielbić i kochać małżonek i wynagrodził miłością ludzką za sieroce wzdychanie. To też Józia uroda była w domu niepotrzebna załoga, bo córki państwa Nałęczów na dorastaniu, niezalecały się urody zbyt, gasiła je Józia, więc trzeba było znowu jaknajprędzej pozbyć się Józii.

Panna Jadwiga była równie ładna, chociaż w innym guście. Mocna brunetka, delikatna, wężła, ale za nad to ufna w posag dwukrociowy i przesycona pieśczoćtami. Jako jedynaczka, patrzyła na świat z góry, krytykowała śmiało, a wybrać męża postanowiła dobrze. Serce w gruncie było dobre, żywiło ono ogień miłości, ale rozumek o tej miłości roił sobie cuda, obiecywał niesłychane tryumfy i roskosze, marzył o chłopcu jakiego trzeba było szukać ze świecą po całym świecie.

Dziesięciu chłopców z parafii obległo ją natychmiast, jedenasty niepokazał się wcale, pan Bóg wie dlaczego.

Już to każdy młody człowiek niesłychany błąd popelnia, jeżeli zabiera się do posażnej w swojej parafii. Posażna panna zawsze ma imaginacyą bujną, a wie co dzieje się w sąsiedztwie. Zład chłopcy okoliczne nie schowają przed nią prozy życia powszedniego; a konkurent przybywający zdaleka zawsze jest figurą ciekawą, tajemniczą, można się bawić odkrywaniem boskich przymiotów, roić o nim cuda i tęsknić za nim gdy go nie widać długo. Jeszcze człowiek bardzo ładny, bardzo bogaty, albo jaki hrabia, może podobać się w swojej parafii; ale szlachcic powszedni, Boże zmiłuj się! niech mu też przynajmniej nie sni się o roli Kupidyna.

Dziesięciu tedy konkurentów z sąsiedztwa panna Jadwiga traktowała grzecznie, ale bardzo zimno. Co dzień był któryś szczęśliwszy, ten schwytał czule spojrzenie, ten wiele obiecujące pożegnanie, ów tłumaczył sobie roskosznie frazes panny Jadwigi powiedziany znacząco, ale po obliczeniu się tygodniowem w Sobotę, żaden nie stał lepij od drugiego. Rzecz osobiłwsza! Wszystko to były chłopcy poczciwe, zgadzali się i kochali, mimo to że rywale, a ile razy zebrało się kilku na kawalerską pogadankę, roztrząsali rzecz po przyjacielsku, żaden nie tracił nadziei dla siebie, ale też ani poddawał, ani odbierał jej drugiemu.

Jakoś zaczęły się te konkury w czasie żniwa, od imienia tańczących pani Grzymalinę, na której to uroczystości odbyła się jakby instalacja Jadwisi na dorosłą pannę. Wystąpiła kompletnie balowo, miała skończonych lat ośmnaście, karbowane nioby, białe rękawiczki i trzewiki, suknię jedwabną różową z podpiętami tunikami, a guwernantka na ten dzień stanowczo już wyjechała z domu.

Rozstawione po salonie ciocie wybornie porozbięrały swoje role; jedna sławiła wdzięki, druga przymioty, trzecia połączenia familijne, czwarta mówiła o gospodarności państwa Grzymalów i gotowiznie leżącej w szkatule. Dalsze kuzynki i przyjaciółki, puszczały szmermele na ochotnika i sypiać niby ogień rotowy z karabinów, kiedy główne protektorki dawały regularnego ognia z okopanych baterii ciężkiej artylerii. Każda przytępem dodając sobie znaczącej powagi, odbierała komplementa młodzieży i czule rączek ucałowania; bo już to rzecz konieczna skarbić sobie łaski rodzonych i ciotecznych, gdy się myśli o zdobyciu serduszka panny. To też młodzi kandydaci w lekkich skokach mazura i polki sadzili się na sprawienie efektu, usiłowali zaintrygować paniękę zdaleka; zgrabniemi a niewielu słówkami drażnili serduszko, głównie zaś każdy na swoją rękę robił podkopy i miny podziemne, wsrubowując się usilnie w serce tej protektorki, którą za najsilniejszą uznawał.

Po imieninach pani Grzymaliny zaczęły się regularne wizyty i konkury formalne. Jakoś podnawiały się i posprzęgały w sąsiedztwie ekwipaże, na służbie zaświeciła lepsza liberya, a co najważniejsza pokazały się i obyczaje lepsze, bo pani Grzymalina nie lubiła swawoli, a miała dobrą policyą, wiedziała doskonale o każdym ekscesie sąsiadów.

Po roku bywania, trzech jeszcze tańczących zabawach u państwa Grzymalów i siedmiu sąsiedzkich. Panna Jadwiga tak się trzymała, że nikt dotąd oświadczyć się o rękę nie śmiał. W ciągu tego roku dzieje się uformowała, nabrała taktu, zręczności, wypiękniała, czytała się w książkach i żywej księdze społeczeństwa, ale dotąd marzyła cuda, świat zaś który ją otaczał zawsze był powszedni, a nawet go-

cierpliwą, czasem postąpią porywcz, ale pewnie tylko z pragnienia dobra i poczciwego serca. Dajcie im cel tylko, natchnijcie myślą, a zobaczycie jak żywo podniosą dłonie i ochoczo porwą się do pracy. Wszystko więc prorokuje miastu wzrost i szczęśliwą dolę... a jeśli Bóg da pożyć, ujrzymy, że nie napróżno tak się spieszyło budować, tak pragnęło rozrosnąć... na przyjęcie wielkiego gościa—ducha wieku i postępu.

J. I. Kraszewski.

ROZMAITOŚCI.

Feliks Rendszmid. Do nielicznego zastępu ludzi, co pracowali lub pracują w Szląsku pruskim nad utrzymaniem języka polskiego, jedno jeszcze dołączamy nazwisko.

Feliks Rendszmid, b. profesor przy katolickim seminarium nauczycieli w Wrocławiu i rektor tamtejszej szkoły farniej u Panny Marii na Piasku, urodził się d. 30 maja 1786 r. w Oleśnie (Rosenberg).

Ukończywszy szkoły miejscowe, postanowił, za wolą rodziców, poświęcić się teologii, i w tym zamiarze udał się r. 1799 na gimnazjum w Opolu, gdzie w klasztorze dominikańskim mieszkając, jak organista na wyżynienie swoje zarabiał. Powodował ny jednakże skłonnością do stanu nauczycielskiego—wstąpił potem do seminarium katolickiego przy turmie w Wrocławiu i odbywszy kurs nauk, chlubnymi opatrzony świadectwami, otrzymał r. 1805 posadę rektora przy szkole katolickiej w Górszowie, na której przez lat 6 pozostał.

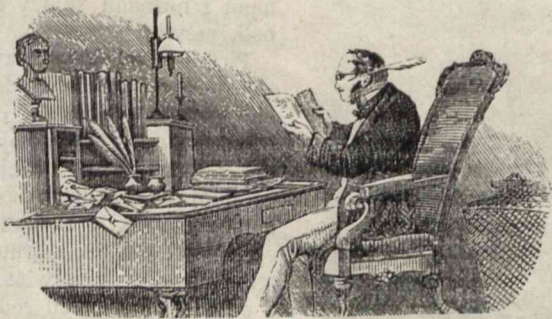
W tym czasie gwiazdą na pedagogicznym widokregu i wzorem pojawił mu się *Pestalozzi* w *Yverdon* w Szwajcaryi; w tych dwóch imionach skupiły się wszystkie jego życzenia i dążności. I los posłużył mu w tym życzeniu, bo zaliczony został do grona pedagogów, których rząd pruski wysłał swoimi kosztem na trzyletni pobyt u *Pestalozzego*.

Od roku więc 1811 aż do 1814 widzimy Rendszmida w *Yverdon*, najgorliwiej zajętego pedagogicznem wykształceniem swoim i nauką języków francuzkiego i włoskiego. Zwidziwszy potem część Francyi i Włoch, przybył do Berlina, zkąd jako pole przyszłych jego działań wskazano mu Wrocław.

Tu, jako nauczyciel a następnie rektor, wzorem był gorliwości, dobroci i poświęcenia dla uczniów, którzy też powszechnie *ojcem Rendszmidem* go zwali. Ludziom fachowym znane są różne jego dziełka dla szkół początkowych i rozprawy pedagogiczne w czasopismach szląskich i zagranicznych umieszczane. Pisał po niemiecku, bo i nie miał pod ręką organu polskiego; ale w mieszkaniu własnem ziomkom swym Polakom wykladał metodykę w ojęzystym ich języku, dawał im rady stosowne i poprawiał polskie ich wypracowania.

Niemcy uważają Rendszmida za swego rodaka; tymczasem z dziada pradziada familia Rendszmidów była polska, a oboje rodzice Feliksa tylko po polsku mówili; żona też jego, Franciszka z Dziekońskich, rodowitą była Polką.

Umarł Rendszmid d. 15 sierpnia 1853 r. w Szmidorf pod Frydlandem, dokąd wyjechał na letnie pomieszkanie, tknięty apopleksją, nie doczekawszy się 50 letniego jubileuszu swojej służby. Wdzięczni uczniowie ze składek wystawili mu skromny pomnik grobowy na cmentarzu frydlandzkim. J. L.



Panu Krajewskiemu. Czując zadosyć żądaniu pańskiemu objawionemu w nr 200 *Gazety Polskiej*, aby można postarać się o dokładne modele *Kodymek* redakcyi oznajmia, iż udało się do wynalazcy tego rodzaju pieców, profesora Filipa Kodyma w Pradze czeskiej i jak tylko rzeczzone modele otrzyma nie zaniedba podać wiadomości o tém w swém piśmie.

Panu X. Y. Z. w Szczecynie, który tak skromnie zaliczył się do „gromady młodych wieszczów w załączku,“ odpowiadamy, że nadesłana poezya jego wcale do kategorii *plodów niedonoszonych* nie należy. Jest to owszém więsz pełen siły i uczucia, znamionujący wytrawny już umysł. Stosownie do życzenia pańskiego drukować go nie będziemy; szczerze jednak wdzięczni jesteśmy za oharowanie nam na pamiętkę pięknego tego utworu, który, jeśli rzeczywiście z początkującego wypłynął pióra, autorowi jego świetną wróży przyszłość.

„Kto dzieckiem łeb zetrze hydrze,
Młodzieńcem zdusi centaury.“

rzej jak powszedni; panna Jadwiga poczynała się nudzić. Chłopcy ani się domyślali tego, a tutaj już były małe sessyjki pani matki, trzech ciotek i Jądwiśi; na tych sessjach przegląd młodzieży skrupulatny. Józio, wcale ładny młokos, ale też chłopaka zostawili bez edukacji. Nie zna żadnego języka, trochę za bardzo żywy i za bardzo naturalny w obejściu się z ludźmi. Stara się o pannę a umizga wszystkim, mająteczek drobny a parady wiele, rzuca się w świat ślepo, nieogłędnie i pewno zginie. Stosunki rodzinne nie pomogą gdy fortuny braknie.

Adaś, ma fortunki z jakie sto kilkadziesiąt tysięcy, rządzi się dobrze i dorabia, gładki i elegancki chłopak, ale jakież połączenia rodzinne! O dziadku mówią że był ekonomem; może i szlachcic ale z bardzo drobnego gatunku, nie ma się co i pochwalić z takim konkurentem.

Antoś chłopiec co się nazywa, istny książę! Okazała uroda, ton pański, polor z wysokich sfer towarzyskich, ale to wszystko kosztowało bardzo wiele; zrujnował się w Warszawie, chce teraz reperować na parafii. Trzyma niezłą dzierżawę rządową, ale gdzie to wystarczy na jego życie wystawne!... szkoda chłopca, bo imie niezłe... ale goły.

Oj! co Grześ to już szlachcic ryfa! Zdrowy bo zdrowy i jak ryś czerwony, dopasły, ogromną czupryna, jak się rozśmieje albo kichnie, to szyby zadrzą w salonie; walcuje niezłe jeszcze, ale polki i kontredansa niepowinięby nigdy tańczyć. Konwersacja strasznie obcessowa. Za trzeciém widzeniem przypiął się do panny, uderzył się w piersi ręką i powiedział głośno:

— Jak rany boskie kocham, tak kocham pannę Jadwigę z całej duszy!

Co za brak taktu? naśmiali się z niego wszyscy, on jakby tego nie wiedział, wzdycha jak kowalskie miechy, pije jak wieloryb, a jak wpatrzy się w Jądwiśię to się wdzięczy i głośno rozśmieje z wielkiego zadowolenia, którego nawet pokryć nie umie. Dziadek kasztelan, wioska dobra, na co się to wszystko przyda kiedy dziki strasznie!...

O Edwardzie nie ma co mówić, ni to z pierza ni z mięsa, dorabia się z kamienia, tak pracował dziad i ojciec a nie wygrzebali się dotąd. Dzierżawka mała!...

Nestór, uszedłby jeszcze, gdyby nie ten nos wielki, który mu sprowadził przydomek słonia; co nos to nos! jak mówi, to głos w tym wielkim nosie rezonuje jak w waltorni. Wioska nie zła i zagospodarowana, parrentela dobra, ale wszyscy tak straszni, że kiedy raz wprowadzono Jądwiśię za życia nieboszczyki pani sędziny do sali jadalnej, jak zobaczyła rodzinne portrety przodków Nestora, o mało niedostała konwulsji ze strachu! Mówią że człowiek poczciwy, ale cóż kiedy taki flegmatyk i brzydactwo.

Michał tegi chłopak, byłby to ułan albo huzar prześlizgnięty. Ależ znowu taki awanturnik i zawadyśka że z miał z dziesięć pojedynków. Kaleczy ludzi, boją się wszyscy. Co prawda jest to dzielny charakter, ale niebezpieczny. Już to w tych czasach dziękuję za męża z taką siłą woli! Ojciec i dziad trzymali żony i traktowali jak niewolnice. Michał niby to polerowniejszy, ale zawsze niedźwiedzia rodu natura pokaże się prędzej czy później.

— Ale, ale, moja ciociu, zna też ciocia bliżej Władysława Toporeczyka?

— Znam doskonale.

— Co to jest, że on się u nas niepokazał ani razu?

— To dziwak osobliwszy. Kupił wioskę od rodziny, odmawia sobie wszelkich przyjemności, dopóki sched siostrze nie pospłaca. Chłopak dorodny, światły, wesoły nie powiem, ale ma życia w samo prawie, dowcipu wiele. Z temi przymiotami mógłby on zawracać głowy paniom, ale nie posunie się do żadnej. Owszem, Władysław zdaje się unikać towarzystwa, można go tylko spotkać między ludźmi przypadkowo. Młodzież bardzo go lubi, pełno zawsze gości ma w domu, fet nie wyprawia, ale na stole obficie.

Razu jednego zdybała go u Andrzejostwa. Jako kuzynka z męża mojego, pozwoliłam sobie konfidenjonalnej pogadanki, a szczerze mówiąc, chciałam go napędzić do Emilki, mojej od ciotecznych siostrzenicy. Robiłam tedy wstęp nieznaczny. Jak mi zaczął mówić o obowiązkach obywatelskich, powołaniu rolnika, bogactwie krajowem; co to za przyjemność dźwigać się na nogi w towarzystwie o własnych siłach, jakie ma nareszcie najbliższe obowiązki, szepnąłem mu sam czas: nie dobrzeby to było pomódz sobie ożenieniem, wziąć posag i ładną dziewczynę, byłoby łatwiej... Matko Najświętsza! kiedy nie wysypie tyrady o miłości, o małżeństwie, o wadzie prawodawstwa, które kobiety przypuściło do równego działu majątkowego po rodzicach... o głosie serca... A niech cię pan Bóg ma w swojej opiece! Wszystko to zastarzałe pojęcia!

— Jednakże z niemi musi mu być dobrze, kiedy ich nie pozbywa...

— Zwyczajnie... oryginał w swoim rodzaju.
— Bardzo byłabym ciekawa poznać go bliżej.
— Wyperswaduj sobie zawczasu moje kochanie...
— Gdyby jednak wiedział, że poznać go pragnę?
— Tębardziej nie przyjechałby do ciebie moja Jądwiśiu.

— A to dla czego?

— On uważa za zgubione kobiety, które otacza rój konkurentów...

— A to duma!.. on zapewne uważa osobę swoją za doskonałość uosobioną, która równać się nie da z nikim.

— Tego nie powiem...

— Czegoż on chce? czy każdej pannie wyznaczyć jednego i musi kochać...

— Coś podobnego, ale w inny sposób. On powiada, że rodzice zrećnie powinni wybrać, a panna zgodzić się z wolą rodziców... Ci zaś, którzy wpuszczają do domu konkurentów ciżbę, robią w domu jarmark, psują serce dziewczyny i sprzedają potem dziecko własne jak towar, często nawet za małe pieniądze, gdy ów towar wyjdzie z mody.

— Zalażyłabym się że wyjdzie na dziekana kawalerów!

— Ma już lat trzydzieści...

— I nie kochał się nigdy?!

— Nawet podejrzenia nie było. Ale co tak dopytujesz się o niego? Czyby ci wypadł w oczki?

— Raz tylko widziałam go i to zdala...

— Piękny mężczyzna.

— To przymiot najmniejszej ceny...

— Jednakże...

To mówiąc ciocia, z uśmiechem zajrzała w oczy Jądwiśi, czy nie zobaczy jakiej sympatyki. Ale przeciwnie, znalazła pewien rodzaj gniewu i oburzenia. A więc ciocia urwała konwersacją o Władysiu, a przegląd systematyczny pokierował się w inną stronę, ku resztkom parafialnego hufca konkurentów. A po skończeniu tego przeglądu jedna z przywiązanych ciotek odezwała się:

— Moja Franiu, wy też zanadto kwasicie Jądwiśię w domu. Pan Bóg dał wam majątek dostatni, prawdziwie że możnaby się też przejechać do Warszawy na zimę, a do wód za granicę latem. Zobaczyłoby dziewczę świat i ludzi, znalazłaby się i partya stosowna niezawodnie.

Na to dictum westchnęła głęboko pani Grzymalina, która Bogiem a prawdą całe życie wzdychała do świata, ale próbowała na różne sposoby z kochanym mężem bezowocnie, aby go z domu wyciągnąć. Człowiek światły, rozsądny i bardzo elegancki, ma siłę woli brutalską. Wyrozumował sobie, że wiele pracy w kraju, dziwne rzeczy prawi o obowiązkach obywatela i powołaniu Polki. Z tego wynika, że podróże zagraniczne bez ważnego celu są wielkim grzechem. Nawet próbka z peryodycznym bólem głowy i zapisanie żonie przez doktora wód maryenbadzkich nie pomogły. Inny jakiś doktor, barbarzyńiec, przepisał picie soku od kiszonych ogórków, i ta rada przemożła u pana Grzymały, do wód jechać nie pozwolił. A dzisiaj, kiedy się zgada o zamężciu Jądwiśi, cytuje stare, dzikie przysłowie: „Kraść daleko, a zenić się blisko.“

— Biedna Jądwiśiu skazaną tedy była na rozwijanie się w parafii od urodzenia aż do śmierci—a tutaj w parafii niemasz w czém wybrać, okropnie nudna proza!

Po roku figurowania na świecie panny Jądwiśi Grzymalanki, dorosła właśnie Józia Nałęczówna.

II.

Brylant bez oprawy.

O urodzie i anielskich przymiotach Józii poczęły krążyć gęste wieści. Te wieści cisnęły się gwałtem pod dachy kawalerów, ale oni wypychali je od siebie z całej siły, bo jak tu było słuchać o ubogiej dziewczynie, kiedy panna krociowa błyszczy na głównym planie obrazu społecznego życia w parafii.

Powiedzieli Józii, że czas na nią przyszedł, i niech się na to przygotowuje, że za mąż pójdzie, jak się tylko trafi człowiek porządny.

Wielka trwoga ogarnęła serce dziewczęcia na tę wiadomość. Płakała po nocach, modliła się do Boga bardzo gorąco, aby ję nie rzucał w ręce niegodnego człowieka. Ale o kochaniu serdeczném, o idealach romansowych ani śmiała śnić biedna sierota.

Stryj powiedział, że się zakręci po świecie i niebawem sprowadzi męża. A zaczął też jakoś wyjeżdżać często gęsto z domu, bawił czasem po dni kilka. Gdy wracał, a zawołano: „Pan przyjechał!“ Józia dostawała dreszczów ze strachu, czy nie przywiózł czasem konkurenta. Tuliła się w kącik, nie wychodziła póki ję nie zawołano, radowała się gdy nie zoba-

czyła obcej figury w powrocie ze stryjem, ale nie uspokajała się łatwo. A gdy rozpakowywano stryja mantelzak podróżny i tłómk z pościelą, podglądała z boku, czy nie wyjmą z nich czasem konkurenta. Straszono biédactwo od dziecka mężem, nie też dziwnego, że wyobraziła go sobie w straszliwej postaci smoka, z oczami bazyliuszka, wilczemi zębami, a kulatego jak niedźwiedz.

Stryjanka była zrędna, stryj zabiegły dorobkowiec, łowiący tylko osobiste zyski na świecie. Do tego wszystkiego tłumnych zebrań nie bywało u stryjostwa. Ani więc kto popieścił sieroty, ani ona do ludzi wzdychała. Małe siostrzyczki stryjeczne były kapryśne, dokuczwały Józii z instynktu przyrodzonego brzydkim kobietom, które choćby najśłodszego charakteru były, nie darują przecież nigdy ładnej kobiecie, za to tylko że ładna. Marzenia Józii o szczęściu ziemskiem były tedy bardzo pokorne. Osobny pokój, w oknie kwiatki, drzewa w ogrodzie, słowik śpiewający w gajku, kotek figlarny i grzeczne siostrzyczki stryjeczne. A gdyby jeszcze weselsza stryjanka i stryj kochający trochę, toby i niebo na ziemi znalazła Józia. Widziała ona czasem w kościele dorodnych ludzi, twarze wesołe, z kąd się biorą na świecie tacy ludzie? jakim sposobem taka uroda i życie na ich twarzach? To była już zagadka do rozwiązania dla Józii niepodobna. Widziała ładnego mężczyznę, powiedziano ję że to kawaler. Taki ładny kawaler, to pewno dla dziewczyny, która ma ojca i matkę, ale nie dla sieroty;— o takim mężu ani zamarzyła Józia.

Nareszcie w domu państwa Nałęczów osobliwszy ruch powstał, Stryjanka poczęła chłudzić pokoje, podwoiła zrędnosc, aż ściany dworu zakwaśniały ję humorem i krzywiły się widocznie. A po kilku dniach tarapatów Józia usłyszała po raz pierwszy, że będą imieniny stryjanki z huczną zabawą, a to wszystko z poświęcenia dla Józii, żeby się zabawiła. Jakoż kupili tarlatan białego sztuki, drugą różowego glansowanego perkalu na podwłóczkę, girlandkę robionych kwiatów na głowę, pięć lokci wstążki białej na szarfę; przyszli krawcy wędrowne Żydki z sąsiedniego miasteczka, zawołano Józii do brania miary. Pierwszy raz zaśmiała się Józia serdecznie, zobaczywszy że tak ładną będzie miała sukienkę. A i zrobili dziewczęciu sukieneczkę. Nie ugarnirowali niczém, bo to kosztowne, a Józia niebogata, ale Józia miała stroik śliczniejszy w figurce giętkiej i ślicznej główce, na model do malowania dziewczęcej czystości. Chociaż tedy krawcy chybili coś w miarę i stanik odymał się troszkę, a spódniczka w niewiele brytów uszyta, Józia jeszcze była prześlicznie ubrana, bo strój ubogi kraśliła ję uroda.

Nadszedł nareszcie ów dzień obiecywanęj uciechy w imieniny stryjanki.

Stryjanka od rana krzątała się po piwnicach i spiżarni, łajała, zrędziła, targowała się z kucharzami o każdy cukru kawałek i łyżkę masła, ani można ję było zdybać do winszowania. Stryj siedział w spiżarni, pilnując młynkowania owsa i odciążenia posładu na obroki dla koni gościnnych, a Józia nie wiedziała co ma robić z sobą. Jawi się nareszcie stryjanka niespodziewanie, a gdy synowica winszować biegnie, kiedy nie fuknie:

— A cóż to wacpanna jeszcze nieubrana? Mój Boże kochany! ja dla nię biegam od rana, nóg pod sobą nie czuję, a ta sobie siedzi!? Niech Bóg nikogo z moich nieprzyjaciół nie karze panną na opiece! Chuchaj, dmuchaj, podścielaj, zawsze to skrzywione i kapryśne!... Jakżeś ty uczesana? Trzeba przecież utapirować nioby pod girlandkę!... Ale niemasz już czasu. Głupia dziewczyna, umuskała się i wylizła jak kotka, obwinęła głowę warkocami, wygląda jak gomółka sera, a potem znowu kto powie, że ja o nią nie dbam. A niech sobie gadają! Ustrojże mi się w tarlatanową suknię, wetknij w głowę kwiatki jak ci się podoba, zawiąż szarfę, włóż szaszędronowe trzewiki... Ja swoje zrobiłam, kupiłam wszystko, niczego nie żałuję, a jak wyśmiejają się z ciebie, to nie moja już wina!

Józia ucałowała pokornie i czule rączki stryjanki, spuściła oczki łzawe.

— Czegoż chcesz jeszcze:

A Józia dygnęła się jak za czasów dzieciństwa i deklamuje:

„Serce mi każe, w dniu tobie właściwym,
Mić za powinność te życzenia złożę —
Abyś w dostatkach w pokoju szczęśliwym,
Zawsze imienia swego mogła dożyć“...

— No i patrzcie jakie to szlamazarne! I to za mąż chcą wydać?! Panna jak drabina wyrosła i powtarza powinszowanie napisane dziecku przez guwernantkę. A gdy Józia drżąca, rozplakawszy się, poczęła ca-

łować jej kolana, przecie udobruchała się stryjanka, podniosła ją, pocałowała i otarła brudną chustką oczy najprzód sobie a potem Józii.

— No dobrze, dobrze moje dziecko, ja cię bardzo Kocham, dlatego nie dla ciebie nie żałuję, dzisiaj dajemy zabawę tańczącą, żeby cię ludziom pokazać



PANNA JADWIGA. (Rysował Kostrzewski.)

przecie... bo czas tobie za mężem... No nie szlochaj i nie trzęs się jak sito... będziesz miała oczy podpuchłe... Ruszaj do swego pokoju i ubieraj się, ja tam przyjdę jak skończysz, zobacz!

Takie było wieszanie stryjance.

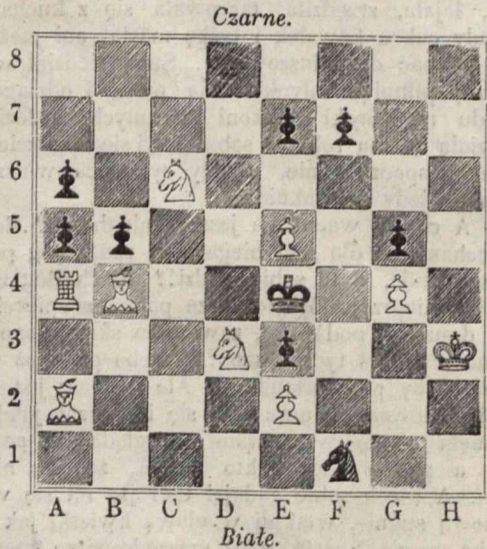
Pobiegło tedy spłoszone dziewczę do swojego pokoiku, poplakała jeszcze sobie chwilę, a potem stanawszy w zwierciadle do wytarcia oczek, rozśmiała się sama do siebie, bo taka była ładna. Oczki w łez-

SZACHY.

ZADANIE LXXVII.

(S. B. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mata wieżą za szóstym posunięciem.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 76.

Białe.

- 1) F 5 — G 6 biorą pieszką G 5 (*) †
- 2) E 5 — E 7 biorą
- 3) H 3 — H 4
- 4) H 4 — H 5 † i mat, albo E 7 — G 7 † i mat.

Czarne.

- 1) F 6 — G 6 biorą (**)
- 2) F 8 — F 7, albo H 6 — F 5 (***)
- 3) Jakkolwiek.

(*) Domyślnie tu jest poprzednie sunięcie czarnych pieszką na G 7 na G 5.

(**) Gdyby król czarny poszedł na G 7, dostałby mata w trzecim posunięciu.

(***) Aby zapobiedz matowi wieżą na G 7.

kach wykapanie, osobliwszego nabrały blasku, usta koralem a liczko różami zakwitły. Włoski, które tak nie podobały się stryjance, były właśnie przesłicznie uczesane. Pan Bóg dał jej dwa sute warkoczki ciemne, miękkie jak jedwab' a połyskliwe bez olejków i pomady; nie wiedziała jak je z tyłu głowy ułożyć, więc pospłatała w czworo spłotów, obwinęła jak koroną główkę śliczną, nie odbierając do przodu. Girlanda robiona była płócienna, a w wazoniku miała taką świeżuchną konwalią, której sobie nazbierała w ogrodzie, wzięła pęczek i przymierzyła, jakoś dobrze, a więc i wpięła w warkoczki parę gałązek, rzuciwszy na bok kwiatki perkalowe. A jak się sobie przypatrzyła, zaczęła się śmiać serdecznie i pomyślała:

— Na co ja mam płakać i drżeć jak listek. Cóż z tego że będzie ciżba ludzi? otóż na złość nie będę się bała, spojrzę śmiało w oczy wszystkim, przecie znajdzie się kto poczciwy, co na niego patrzeć warto... A ja przecie nie bardzo brzydka, spojrzaj ludzie miłosiernie na sierotę...

A potem wsunęła się w buchatą sukienkę, przy-



PAŃSTWO NAŁĘCZOWIE W STROJU BALOWYM. (Rysował Kostrzewski.)

wiązała szarfę, przesunęła kokardę na wszystkie strony, najlepiej tej kokardzie było u boku, wsadziła w nią pęczek konwalij. Już było wszystko dobrze, aż na nieszczęście przypomniała sobie, że nie wzięła szaszędronowych trzewiczków. Na gwałt tedy przyszywać bandarze i obuwać. „Mój Boże, biedna ja sierota, pomyślała sobie: taką mam nóżkę malutką, nużby w świat iść było trzeba... nie wystarczą biedne nóżki...“ Jeszcze się litowała nad sobą, gdy drzwi się roztwarły, weszła wykokoszona stryjanka z dwoma córkami. Mimo chęci wyrwało jej się jakoś.

— Jaka ona ładna, patrzajcie ją?!...

I mimo chęci pocałować musiała tę uśmiechniętą buzię. Ale jak spojrziała na swoją Magdosię i Nastkę, jedną z gomółkowatym, drugą z niesłychanie zadartym noskiem, zmarszczyło się czoło i złoty humor zniknął. Żeby to zakryć, stanęła w zwierciadle Józinnem, zaczęła poprawiać wielki czepiec koronkowy, z ogromnemi kokardami pasowemi, przy których jej twarz spasiona, w podbródków dwa piętra opatrzona, wyglądała ceglato. Suknię miała pstrą, w żywe kolory, zasianą bukietami jak starożytny ornat, albo nowomodne pokrycie na meble. Otyły gors, do połowy schowany, otoczyła sutą falbaną koronkową, kilkanaście brytów spódnicy rozszerzało stryjankę, wyglądającą jak wielki kredens. Mimo obejrzenia tego paradnego stroju, humor się już nie poprawił. Nie spojrziała więcej na Józję, ale mustrować zaczęła swoje podlotki, ubrane w jedwabne sukienki z tunikami, wykoronkowane, z tapirowanemi niobami, co wszystko urzędowała guwernantka. Zobaczywszy girlandę Józii nietkniętą.

— Jako? nie wezmiesz tych kwiatków?

— Zdaje mi się stryjanciu, że niepotrzeba, mam dosyć konwalij...

— A i owszem... kiedy nie chcesz!

To mówiąc, rozerwała girlandę jaskrawą na dwie

połowy i powsadzała swoim podlotkom w nastrzępione czupryny, a Magdosia i Nastka aż zaklaskały w ręce, że im tak ładnie.

W tym dało się słyszeć trzaskanie z bicza w podwórzu.

— Już goście jadą, panny do pokoju bawialnego!



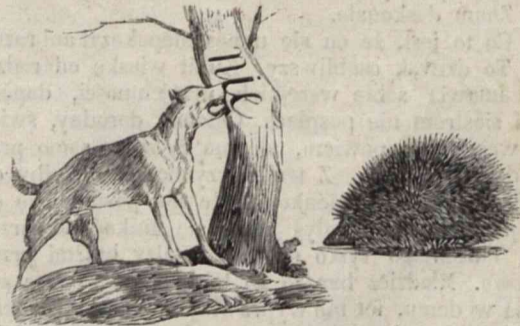
JÓZIA. (Rysował Kostrzewski.)

To powiedziawszy ruszyła naprzód do salonu robić honory. Pan Nałęcz czekał też wystrojony w ślubny frak rozmarynowy, trochę przyciasną kamizelkę kanarkową, białą wielką chustkę i wypłowiałe pantaliony dzikiego koloru. Czuprynę swoim zwyczajem muskał, zakrywając łysinę starannie, wąsy rozstrzepił suto, nagarniając ku przodowi. Połowica zobaczywszy męża w takiej gali, uściskała go; co on odplacił poglaskaniem podbródka jejmości i wybiegł na ganek.

Goście dopisali. Państwo Nadleśnicostwo rządowi z córką, komornik trybunalski, podsedek z żoną i dziećmi, wójt gminy z sąsiedniej królewskiej i sześciu młodzieży, złowionej i spojonej na jarmarku. Dodawszy proboszcza miejscowego, jego siostrę i gwardyana od reformatów, summa facit osób trzydzięści i sześć z domownikami; było tedy Józję komu pokazać. Jeszcze nie dano znać, że obiad gotowy, jeszcze panna Nałęczowa odbierała powinszowania gości, gdy żył kowie, z sąsiedniego miasteczka, najfalszywiej zagrapoloneza w sieni, Magdosia i Nastka zaklaskały w ręce, a Józja obejrzała się niespokojnie dokoła, mój Boże! ładnych ludzi z koscioła nie było w salonie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

REBUS.



k



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 99.

Między Niemcami broda i okulary bywają szyldem filozofa.